NA NIEDZIELĘ

Dodatek bezpłatny do „Dziennika Bydgoskiego:“ Wychodzi co tydzień.

Nr. 29. | Bydgoszcz, niedziela 25 lipca 1909. | Rok II.

Na niedzielę ósmą po Świątkach.

Lekcya.

Rzym. VIII. 12—18.

Bracia! jesteśmy powinni nie ciału, abyśmy podług ciała żyli. Albowiem jeśli podług ciała żyć będziecie, pomrzecie; ale jeśli duchem sprawy ciała umartwicie, żyć będziecie. Bo którzykolwiek duchem Bożym rządzeni są, ci są synami Bożymi. Boście nie wzięli ducha niewoli znowu ku bojaźni: aleście wzięli ducha przywłaszczenia za syny, przez którego wołamy: Abba, (Ojcze)! Albowiem ten duch świadectwo daje duchowi naszemu, iżeśmy synami Bożymi. A jeślić synami, tedyć i dziedzicami; dziedzicamić Bożymi, a spółdziedzicami Chrystusowymi.

Ewangelia.

Łuk. XVI. 1—19.

W on czas mówił Jezus Uczniom swoim tę przypowieść: Był niektóry człowiek bogaty, który miał włódarza, a ten był doniesion do niego, jakoby rozproszył dobra jego. I wezwał go i rzekł mu: Cóżto słyszę o tobie? Oddaj liczbę włódarstwa twego, albowiem już włódarzyć nie będziesz mógł. I mówił włódarz sam w sobie: Cóż uczynię, gdy Pan mój odejmie odemnie włódarstwo? Kopać nie mogę, żebrać się wstydzę. Wiem co uczynię: że gdy będę złożon z włódarstwa, przyjmą mnie do domów swoich. Wezwawszy tedy każdego z osobna dłużnika Pana swego, mówił pierwszemu: Wieleś winien Panu memu? A on powiedział: sto barył oliwy. I rzekł mu: Weźmij zapis twój, a siądź natychmiast napisz pięćdziesiąt. Potem drugiemu rzekł: A ty wieleś winien? A on rzekł: sto beczek pszenicy. I rzekł mu: Weźmij zapis swój, a napisz osiemdziesiąt. I pochwalił Pan włódarza niesprawiedliwości, iż roztropnie uczynił. Bo synowie tego świata roztropniejsi są w rodzaju swoim nad syny światłości. A ja wam powiadam: Czyńcie sobie przyjacioły z mamony niesprawiedliwości, aby gdy ustaniecie, przyjęli was do wiecznych przybytków.

Nauka.

„Oddaj liczbę włodarstwa twego, albowiem już włodarzyć nie będziesz mógł!“

Słowo to każdy z ust Pańskich usłyszy, a niejeden w sercu już nieraz je usłyszał, ale niestety podobno go nie usłuchał. Słowa te są groźbą, nie groźbą słabego człowieka, który nie zawsze może wykonać swą groźbę, ale Boga wszechpotężnego, który w każdej chwili jako najwyższy Pan zawezwać może niewiernego sługę do ciężkiej odpowiedzialności. Ale Pan Bóg jest zarazem Ojcem naszym i miłuje nas, więc poucza i ostrzega nas, żebyśmy na oślep nie narażali się na straszne i nieuniknione skutki i lekkomyślności i przewrotności. Ile razy śmierć zaglądała ci w oczy, to Pan Bóg cię ostrzegał: oddaj liczbę... już włodarzyć nie będziesz; nieraz sumienie głośniej przemawiało, to Pan Bóg przestrzegał: zdawaj liczbę, już włodarzyć nie będziesz; czasem groziło niebezpieczeństwo utraty majątku, stanowiska, dobrej sławy lub innych dóbr, to Pan Bóg przestrzegał: zdaj liczbę, już włodarzyć nie będziesz. Dzisiejsze też tak groźne i niespokojne czasy, w których mnożą się znaki jakby już nadchodzącej burzy, kiedy zanosi się na powszechny kataklizm i przewrót wszystkich stosunków istniejących, kiedy trwoga i bezradność coraz szersze ogarnia koła i zdaje się sprawdzać ono słowo Pańskie: zagubię mądrość mądrych: a roztropność roztropnych odrzucę: to wszystko jest jeno wielkie ostrzeżenie Może do wszystkich, którzy coś w świecie znaczą: zdawajcie liczbę... już włodarzyć nie będziecie.

Chociaż po swojemu, prawdziwie po złodziejsku, a przecież skorzystał z danej mu przestrogi włodarz ewangeliczny i to mu pan jego chwali, nie chwaląc bynajmniej nierzetelności jego. Zanim staniemy przed Panem dla oddania Mu liczby z włodarstwa naszego, sami ze sobą obliczmy się, ale rzetelnie, bo Boga oszukać niepodobna. Jakiż był pożytek ze mnie i z dotychczasowego życia mego? Dałeś nam wszystko, coś nam mógł dać Panie! dałeś majątek, imię uczciwe, naukę, wychowanie, zdolności, zdrowie, siły do pracy, dałeś rozum, dałeś serce, dałeś więcej jeszcze, bo dałeś wiarę, dałeś tradycye katolickie, tyle natchnień, a nawet i chęci i popędów dobrych. A ja ma-

jąc tyle sposobów i pobudek do dobrego, cóżem zdziałał? miłość własna i szukanie siebie, oto tło życia mego, a na tem brudnem tle tyle, ach tyle brudniejszych jeszcze plam. — Pora chuj się, zalęknij i zawstydź samego siebie i bodaj raz wyspowiadaj się z sercem skruszonem i upokorzonem.

Wyspowiadawszy się radź o swej przyszłości, póki jeszcze Pan zostawia cię przy włodarstwie twojem i czyń sobie przyjacioły z mamony niesprawiedliwości, aby gdy ustaniesz, przyjęli cię do wiecznych przybytków. Powiedział pan Jezus najprzód o ubogich w duchu, a powtóre o tych, którzy prześladowanie cierpią dla sprawiedliwości, że ich jest królestwo niebieskie. Pomiędzy tymi więc jednaj sobie przyjaciół; z jednej strony grzechy swoje jałmużnami odkupuj, a nieprawości twoje miłosierdziem nad ubogimi, wedle możności twojej jednym dostarczaj chleba, innym zarobku, a dbaj o sługi twoje, jakby o dzieci przybrane; z drugiej znów strony przywykaj do tych, co pracują, mozolą się, a nieraz i cierpią dla sprawiedliwości; dziękuj Panu Bogu, jeżeli pozwoli ci razem z nimi pracować, mozolić się, a choćby i cierpieć dla jakiejkolwiek zbożnej sprawy. Wtenczas życie twoje przestanie być czczem i szarem i Pan pozwoli ci włodarzyć tak długo, aż On sam wraz z Świętymi symi, a teraz już i twoimi od niedawna przyjaciółmi, będzie mógł cię przyjąć do przybytków swoich wiecznych. Amen.

Prześladowanie chrześcian.

(Dokończenie).

Skazańcy śpiewali z oczyma wzniesionemi ku walerium. Widziano twarze pobladłe, lecz jakby natchnione. Wszyscy zrozumieli, że ludzie ci nie proszą o litość i że nie zdają się nie widzieć ni cyrku, ni ludu, ni senatu, ni Cezara. Chrystus regnat! rozbrzmiewało coraz donośniej, a w ławach hen, aż do góry, między żędami widzów, niejeden zadawał sobie pytanie: co to się dzieje i co jest za Chrystus, który króluje w ustach tych ludzi, mających umrzeć?

Ale tymczasem otwarto nową kratę i na arenę wpadły z dzikim pędem i szczakaniem całe stada psów: płowych olbrzymich molosów z Peloponezu, pręgowatych psów z Pirenejów i podobnych do wilków kundli Hibernii, wygłodzonych umyślnie o zapadłych bokach i krwawych oczach. Wycie i skomlenie napełniło cały amfiteatr.

Chrześcianie, skończywszy pieśni, klęczeli nieruchomi, jakby skamienieli, powtarzając tylko jednym jękliwym chórem: Pro Christo! pro Christo! Psy, wyczuwszy ludzi pod skórami zwierząt, zdziwione ich nieruchomością, nie śmiały się na nich od razu rzucić. Jedne wspinały się na ściany lóż, jakby chciały dostać się do widzów, inne biegały naokoło, szczekając zażarcie, jakby goniły jakiegoś niewidzialnego zwierza.

Lud rozgniewał się. Zawrzały tysiące głosów: niektórzy z widzów udawali ryk zwierząt; szczekali jak psy, inni szczuli we wszystkich językach.

Amfiteatr zatrząsł się od wrzasków.

Rozdrażnione psy poczęły to dopadać do klęczących, to cofać się jeszcze, kłapiąc zębami, aż wreszcie jeden z molosów wpiął kły w kark klęczącej na przodzie kobiety i pociągnął ją pod siebie.

Wówczas dziesiątki ich rzuciły się w środek, jakby przez wyłom. Tłum przestał ryczeć, by przypatrywać się z większą uwagą.

Wśród wycia i charkotu słychać jeszcze było żałosne głosy męskie i kobiece: Pro Chrysto! Pro Chrysto! lecz na arenie potworzyły się drgające kłęby z ciał psów i ludzi. Krew płynęła teraz strumieniem z porozdzieranych ciał. Psy wydzierały sobie wzajem krwawe ludzkie członki. Zapach krwi i poszarpanych wnętrzności zgłuszył arabskie wonie i napełnił cały cyrk. W końcu już tylko gdzieniegdzie widać było pojedyńcze, klęczące postacie, które wnet pokrywały ruchome wyjące kupy.

. . . .

. . . .

W tej samej chwili poczęto wypychać na arenę nowe ofiary, obszyte w skóry.

Te klękały natychmiast, jak i poprzednicy, lecz zmordowane psy nie chciały ich szarpać.

Wówczas zaniepokojony w duszach, ale spity krwią i rozszalały lud począł krzyczeć przeraźliwymi głosami:

— Lwów! Lwów! wypuścić lwy!

Lwy miały być zachowane na dzień następny, lecz w amfiteatrach lud narzucał swoją wolę wszystkim, nawet i Cezarowi.

Nero, któremu oklaski droższe były nad wszystko w świecie, nie opierał się nigdy, tembardziej więc nie opierał się teraz, gdy chodziło o ukojenie rozdrażnionych po pożarze tłumów i o chrześcian, na których chciał zwalić winę klęski.

Dał więc znak by otworzono „kunikulum“ co, ujrzawszy lud uspokoił się natychmiast.

Lwy, jakkolwiek wygłodniałe, nie spieszyły się do ofiar. Czerwony blask na arenie raził je, więc mrużyły oczy, jakby olśnione, niektóre wyciągały leniwie swe cielska; niektóre, otwierając paszcze, rzekłbyś, chcąc pokazać widzom kły straszliwe. Lecz następnie zapach krwi i podartych ciał, których mnóstwo leżało na arenie, począł na nich działać. Wkrótce ruchy ich stały się niespokojne, grzywy jeżyły się, nozdrza wciągały chrapliwie powietrze. Jeden przypadł nagle do trupa kobiety z poszarpaną twarzą i ległszy przedniemi łapami na ciele, jął zlizywać kolczastym językiem skrzepłe sople, drugi zbliżył się do chrześcianina, trzymającego na ręku dziecko, obszyte w skórę jelonka.

Dziecko trzęsło się od krzyku i płaczu, obejmując konwulsyjnie szyję ojca, ów zaś pragnąc mu przedłużyć choć na chwilę życie, sta-

rał się oderwać je od szyi, by podać dalej klęczącym. Lecz krzyk i ruch podrażnił lwa, nagle wydał krótki, urwany ryk, zgniótł dziecko jednem uderzeniem łapy i schwyciwszy w paszczę czaszkę ojca zgruchotał w mgnieniu oka.

Na ten widok wszystkie inne wpadły na gromadę chrześcian. Kilka kobiet nie mogło wstrzymać krzyków przerażenia, lecz lud zgłuszył je oklaskami, które wnet jednak uciszyły się, albowiem chęć patrzenia przemogła. Widziano wówczas rzeczy straszne: głowy znikające całkowicie w czeluściach paszcz, piersi otwierane na rozcież jednem uderzeniem kłów, wyrwane serca i płuca; słyszano trzask kości w zębach. Niektóre lwy, chwyciwszy ofiary za boki lub krzyże, latały w szalonych skokach po arenie, jakby szukając zakrytego miejsca, gdzieby mogły je pożreć, inne w walce wzajemnej, wspinały się na siebie, obejmując się łapami, jak zapaśnicy i napełniając amfiteatr grzmotem. Ludzie stawali z miejsc. Inni opuszczając siedzenia, schodzili przedziałami niżej, by widzieć lepiej i tłoczyli się w nich na śmierć. Zdawało się, że uniesione tłumy rzucą się wreszcie na samą arenę, i poczną rozdzierać razem z lwami. Chwilami słychać było nieludzki wrzask, chwilami ryk, pomruk, kłapanie kłów, wycie molosów, chwilami jęki tylko. A z kanikułów wypychano coraz nowe ofiary.

. . . .

Mrok jeszcze nie zapadł, gdy już pierwsze fale ludu poczęły napływać do ogrodów Cezara. Tłumy przybrane świątecznie, uwieńczone, ochocze i śpiewające, a w części pijane, szły patrzeć na nowe wspaniałe widowisko. Widywano już i poprzednio w Rzymie ludzi, palonych na słupach, lecz nigdy dotąd nie widziano takiej ilości skazanych. Cezar i Tigellin, chcąc skończyć z chrześcianami, a zarazem zapobiedz zarazie, która z więzień rozchodziła się coraz bardziej po mieście, nakazali opróżnić wszystkie podziemia, tak że zostało w nich zaledwie kilkudziesięciu ludzi, przeznaczonych na koniec igrzysk. To też tłumy po przebyciu bram ogrodowych, zniemiały ze zdziwienia. Wszystkie aleje główne i boczne, biegnące wśród gęstwiny drzew, wokół łąk, kęp, stawów, sadzawek i poletków, obsianych kwieciem, nabite smolnymi słupami, do których poprzywiązywano chrześcian. Z wyższych miejsc, gdzie widoku nie zasłaniały drzewa, można było dostrzedz całe szeregi palów i ciał, przybranych w kwiaty, w liście mirtowe i w bluszcz, ciągnące się w głąb, po wyniosłościach i nizinach tak daleko, że gdy bliszcze wydawały się jak maszty naw, najdalsze przedstawiały się oczom jak kolorowe, pozatykane w ziemię, tyrsy lub dzidy. Mnogość ich przeszła oczekiwania samego ludu. Można było pomyśleć, że cały jakiś naród poprzywiązywano do słupów dla uciechy Rzymu i Cezara. Gromady widzów zatrzymywały się pod pojedyńczymi masztami, w miarę, jak zaciekawiały je postacie, wiek, lub płeć ofiar, oglądały twarze, wieńce, girlandy bluszczu, poczem szły dalej i dalej zadając sobie pełne zdumienia pytania: „Zali mogło być tylu winnych, lub jak mogły podpalić Rzym dzieci, zaledwie zdolne chodzić o własnej mocy?“

Zdumienie przechodziło zwolna w niepokój. Tymczasem zapadł mrok i na niebie zabłysły pierwsze gwiazdy. Wówczas przy każdym skazanym stanął niewolnik z płonącą pochodnią w ręku, a gdy odgłos trąb rozległ się w różnych częściach ogrodu, na znak rozpoczęcia widowiska, wszyscy przyłożyli płomień do spodu słupów.

Ukryta pod kwiatami i polana smołą, słoma wnet zajęła się jasnym płomieniem, który wzmagając się z każdą chwilą, rozkręcał swoje bluszcze, wzbijał się ku górze i obejmował nogi ofiar. Lud umilkł, ogrody zabrzmiały jednym ogromnym jękiem i krzykami boleści. Niektóre ofiary jednak, wznosząc głowy ku gwiaździstemu niebu, poczęły śpiewać na cześć Chrystusa. Lud słuchał. Lecz najtwardsze serca napełniły się przerażeniem, gdy z mniejszych masztów rozdzierające dziecinne głosy poczęły wołać: „Mamo! mamo!“ i dreszcz przeszedł nawet pijanych widzów na widok owych główek i niewinnych twarzy, powykrzywianych bólem lub mdlejących w dymie, który począł dusić ofiary. A płomień szedł w górę i przepalał coraz nowe wieńce róż i bluszczów. Rozgorzały aleje główne i poboczne, rozgorzały kępy drzew i łąki, i kwieciste poletka, rozbłysła woda w sadzawkach i stawach i poróżowiały drżące liście na drzewach i uczyniło się widno jak w dzień. Swąd spalonych ciał napełnił ogrody, lecz w tej chwili niewolnicy poczęli sypać w przygotowane umyślnie między słupami kadzielnice mirrę i aloes. Między tłumem ozwały się tu i owdzie okrzyki, nie wiadomo, czy współczucia, czy upojenia i radości, i wzmagały się z każdą chwilą wraz z ogniem, który obejmował słupy, wpinał się ku piersiom ofiar, skręcał palącem tchnieniem włosy na ich głowach, rzucał zasłonę na ich poczerniałe twarze i wreszcie strzelał jeszcze wyżej, jakby na zwycięstwo i tryumf tej sile, która kazała go rozniecić.

H. Sienkiewicz.

Sowa.

Baśń Sobotkowa.

W noc czarów, w noc kziwów, kiedy dzieją się cuda na niebie i ziemi, błądziła po wielkim lesie dziewica przedziwnej urody, pragnąc zerwać tajemniczy kwiat paproci, kwiat szczęścia.

Gąszcz leśny był olbrzymi i nagle dziewczę uczuło nieznaną trwogę. Mimo tego parta niepowstrzymanem dążeniem zdobycia tajemniczego kwiatu biegła dalej, wciąż dalej, odszukując między trawami i mchem upragnionego kwiatu. Błyszczącemi oczyma patrzała niekiedy na wyniosłe świerki, sosny i jodły, na tulące się do ich nagich pni krzaki czeremchy, kaliny i wrzosy zielone. Księżyc fantastycznie oświecał lesistą puszczę, a świetlane robaczki, niby brylanty, jaśniały na ciemnem tle lasu.

Naraz usłyszało dziewczę za sobą tajemnicze jakieś nawoływanie, szmer pełzających gadów, wycie i ryk zwierząt. Ogarnęła ją trwoga, a równocześnie przeczuła, iż zbliża się do tajemniczego kwiatu, którego strzegą szatańskie siły. Chciała wracać, gdy w tejże chwili oczy jej olśnił niespodziewany widok: wśród leśnej zieleni oświecony srebrnemi blaskami księżyca ukazał się jej oczom cudny marmurowy pałac. Dach był złocisty, a okna srebrne, w koło tajemniczego pałacu rozsiewały się przecudne kwiaty o wspaniałych barwach i woni. Ptaszęta zawodziły tak cudnie, że dziewczyna oniemiała z podziwu. Widniały tam zaciszne opodal altanki, kioski, posągi i szemrzące wodotryski.

Pełna więc lęku i podziwu zbliżyła się do marmurowego pałacu, gdy w tej chwili stanął przed nią nieznany starzec surowego oblicza z długą srebrną brodą.

— Jak śmiesz, nieszczęsna, wchodzić do mego królestwa! — zawołał surowo — jakiem prawem przerywasz moją ciszę?

Lecz dziewczynie wróciła przytomność.

— Nudny jesteś, mój staruszku — odparła. — Spójrz, jak jestem piękną, a wiesz chyba, że piękność miewa nieograniczone prawa.

I obrzuciła starca czarownem spojrzeniem swych wymownych, cudnych oczu.

Starzec potarł czoło.

— Czy piękność jest twoją zasługą? — zapytał. — Czy nigdy nie zastanowiłaś się, że i ty kiedyś będziesz starą i pomarszczoną? To, co jest istotną wartością — ciągnął dalej — tego nie nosi się na pokaz a piękność ducha i serca jest o wiele cenniejsza i trwalsza.

Dziewczę zaśmiało się głośno a dźwięk jej srebrzystego głosu odbił się echem w przestrzeni: Tak, jak ty, mój staruszku — odparła szyderczo — mogą tylko mówić starzy, których uroda dawno już minęła.

Starzec spojrzał surowo na piękną dziewczynę i zawołał:

— Za karę twej zarozumiałości, czarodziejską mocą mej władzy, którą posiadam, w noc dzisiejszą, w noc sobótkową przemieniam cię, płocha ludzka istoto, w złowróżbnego ptaka; odtąd jako sowa zamieszkiwać będziesz stare ruiny zamków, wieże kościelne i samotne, cmentarne kaplice, w dzień wzrok twój pokrywać będzie ślepota, a nocą śmiechem straszyć będziesz przechodniów i wróżbą będziesz ich śmierci.

Na zaklęcie starca urocza postać przeobraziła się w sowę i odtąd jako zwiastun nieszczęścia żałosnym okrzykiem zawodzi tęsknotę za utraconą pięknością i szczęściem.

Co sto lat, Bóg litując się nad grzesznem dziecięciem ludzkiem, pozwala, aby w noc sobótkową powracała ona do swej dawnej postaci. Wtedy to okrzyki złowróżbne nocnych ptaków milkną, a na ziemi ukazuje się widmo cudnej dziewczęcej postaci, schylonej nad tajemniczym kwiatem paproci.

Ludzie jednak nie pamiętają, kiedy owe sto lat, i nie wiedzą, kiedy oczekiwać pięknego zjawiska.

Modlitwa dzieci.

W hrabstwie H. żyła przed wielu laty zacna rodzina B. we własnym majątku szczęśliwie i spokojnie, nie pragnąc lepszej doli. Składała się z ojca, matki, ośmiorga drobnych dziatek, z których najstarsze miało lat 16.

Wtem jak grom z jasnego nieba, spada na nich nieszczęście — ojciec umiera. Biedna matka, przerażona tym ciosem, wpadła również w niebezpieczną chorobę, tak iż musiała być spiesznie opatrzona św. Sakramentami.

Po kilku dniach, gdy proboszcz znowu przyszedł odwiedzić nieszczęśliwą rodzinę, oświadczył lekarz, że żadnej nadziei ocalenia niema.

Płacząc, obstąpiły dzieci proboszcza, który im rzekł:

— Drogie dzieci, u Boga wszystko jest możliwe. Módlcie się. Bóg jest tak dobry, a osobliwie chętnie modlitwy dziatek wysłuchuje.

Następnie pouczył ich, w jaki sposób odprawiać mają nowennę.

— Zmówcie — rzekł — codzień 2 Ojcze nasz, 3 Zdrowaś Marya i dodajcie to westchnienie: „O dobry Jezu! Uzdrów nam matkę“.

Dzieci tak uczyniły, a najstarsza dziewczynka rzekła:

— I Matka Boska musi się także ze swej strony przyczynić do uzdrowienia mamy.

Dodała więc do tamtych modlitw jeszcze modlitwę św. Bernarda: „Pamiętaj o najdobrotliwsza“.

Modliły się zaś z taką szczerą pobożnością, że proboszcz, który na nie patrzał, rzekł:

— Taka modlitwa musi być wysłuchana.

Jakoż szóstego dnia rzekła matka:

— Zdaje mi się, dziatki moje, żeście mi wyprosiły zdrowie.

I rzeczywiście, gdy lekarz przyszedł, zastał chorą w daleko lepszym stanie.

Dziewiątego dnia przyszedł znowu i zawołał:

— Jak to być może?

Matka była zdrowa i nazajutrz przyjęła Komunią św.

Dziatki poczęły znowu odprawiać nowennę, dodając na końcu: „O dobry nasz Panie Jezu, dziękujemy Ci“.

Żyli potem jeszcze 10 lat z matką pobożnie i szczęśliwie. Po upływie tego czasu umarła matka i siedmioro dziatek na zarazę w ciągu trzech tygodni. Pozostał tylko syn, który wstąpił do klasztoru, gdzie dokonał żywota, z rozpromienionem obliczem mówiąc:

— Ojcze, matko! weźcie mnie do siebie, abym z wami był przy Bogu moim!

ZDANIA I MYŚLI.

Postępuj dobrze a nie będziesz potrzebował obawiać się nikogo, postępując źle, obawiaj się całego świata.

Drukiem i nakładem Jana Teski w Bydgoszczy. Redaktor odpowiedzialny Jan Szmańda w Bydgoszczy.